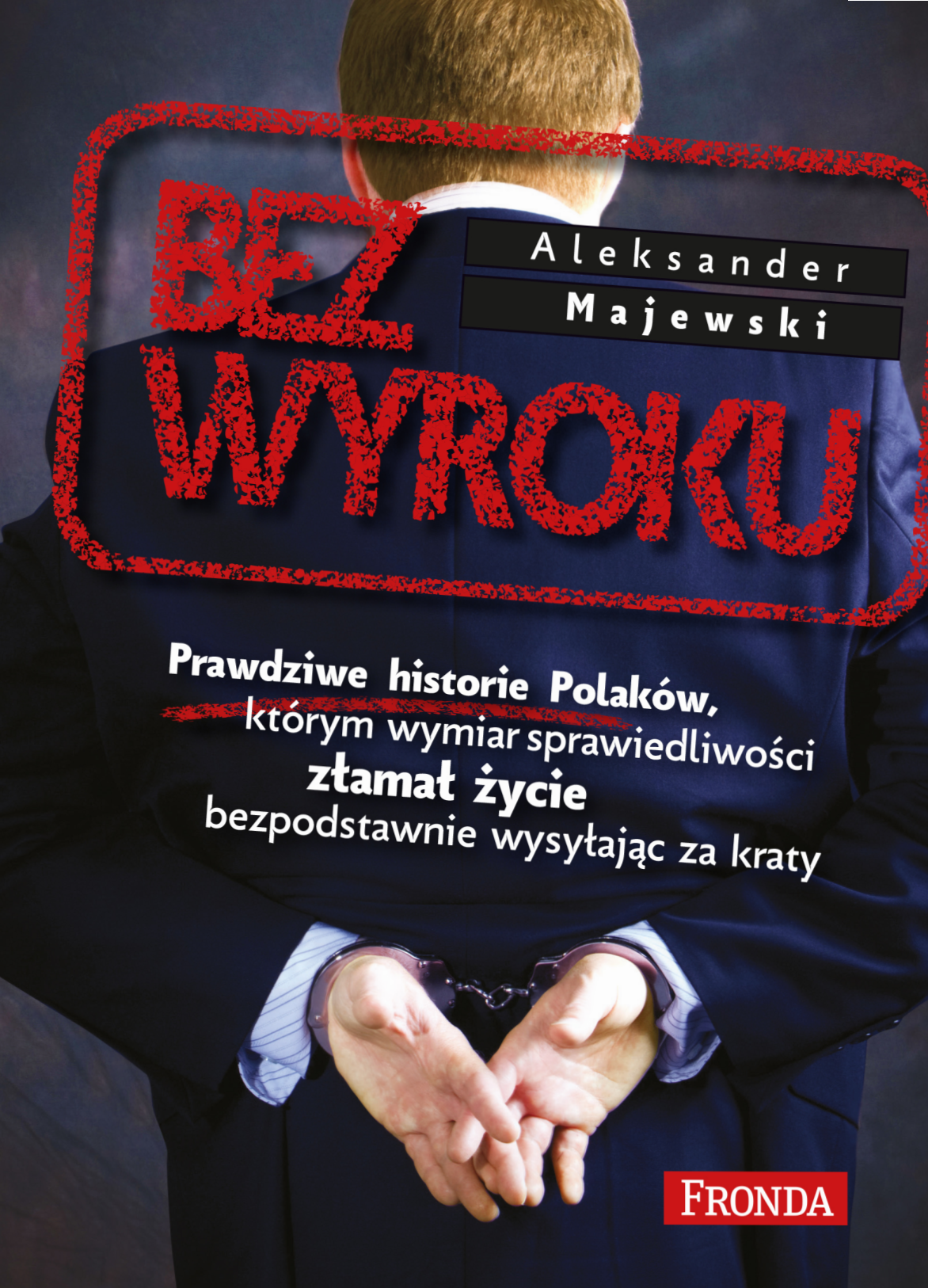




BEZ WYROKU

Aleksander
Majewski

Prawdziwe historie Polaków,
którym wymiar sprawiedliwości
złamał życie
bezpodstawnie wysyłając za kraty

FRONDA

**BEZ
WYROKU**

BEZ WYROKU

Aleksander
Majewski

**Prawdziwe historie Polaków,
którym wymiar sprawiedliwości
złamał życie
bezpodstawnie wysyłając za kraty**

FRONDA

Projekt okładki :

Fahrenheit 451, zdjęcie: fotolia © sframe

Dyrektor projektów wydawniczych:

Maciej Marchewicz

Korekta i redakcja:

Barbara Manińska

Skład i łamanie:

Point PLUS, Warszawa

© Copyright by Aleksander Majewski 2016

© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2016

ISBN 978-83-8079-048-3

Wydawca

FRONDA

Fronda PL , Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl

www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

www.twitter.com/Wyd_Fronda

SPIS TREŚCI

Prolog	9
---------------------	---

Rozdział 1 „Czester”. 12 lat za niewinność.....	11
--	----

Rozdział 2 Trzy lata piekła	32
--	----

Rozdział 3 Bał się wyjść z pokoju, został terrorystą	50
---	----

Rozdział 4 Kłopotliwe hobby.....	72
---	----

Rozdział 5 Życie na kontrolowanym	85
--	----

Rozdział 6 Policjanci za kratami.....	96
--	----

Rozdział 7 Szachownica służb	126
---	-----

Rozdział 8 Świadek koronny „Jezus” czyni cuda.....	153
---	-----

Zamiast epilogu Antybohater	171
--	-----

Aneks

Wybrana publicystyka	183
----------------------------	-----

Nie pomstujmy na sąd ws. Braciaków. To zwykły Kowalski często patrzy z podziwem na pospolitych degeneratów	184
---	-----

Danse macabre z trumną generała Papały w dniu ciszy wyborczej. A co ze sprawą Jarosława Ziętary?	186
---	-----

Sprawa Papąły. Spektakl na podstawie sztuki zawodowych kłamców dobiega końca	188
Ludzie z blizną. Remake kultowego filmu Briana De Palmy powinien powstać w Polsce	190
Śledztwo ws. zabójstwa Papąły przedłużone... Który „skruszony gangster” zdecyduje o jego losie?	192
„Masa” zdobywa listy bestsellerów, czyli gangster staje się idolem	194
Obywatelu, daj się zabić! Prawo do obrony koniecznej – jak państwo – istnieje tylko teoretycznie	197

Czesławowi Kowalczykowi
i Zbigniewowi Górze
Niezwyciężonym

PROLOG

„Cholernie dużo piszesz” – powiedział mój znajomy na wieść o nowej książce. „Bo czasem chcę się poczuć prawdziwym dziennikarzem, a nie tylko kolesiem wykonującym ten zawód” – odpowiedziałem. Rozmowa z ludźmi i stawanie po ich stronie w starciu z państwową machiną powinny być priorytetami w tej robocie. W przeciwnym wypadku, cała reszta zawodowej napinki pozostaje bez znaczenia.

To właśnie temat osób skrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości sprawił, że jestem tym, kim jestem. Bieżąca publicystyka społeczno-polityczna czy newsowa orka to tylko codzienne wyzwanie, z którym trzeba się mierzyć. Proza życia do przetrwania. Dopiero konfrontacja z żywym człowiekiem, z jego problemami, lękami i marzeniami jest esencją tej pracy. Jakże odległą od dyskusji z maszynami do przedstawiania PR-owego przekazu dnia...

Dlatego propozycję napisania tej książki potraktowałem jako dyskretny uśmiech przeznaczenia – wreszcie miałem szansę podsumować sprawy, którymi zajmowałem się od kilku lat. I chociaż ich kaliber jest różny, mają pewien wspólny mianownik. Dramat pozostaje dramatem, bez względu na wymiar kary. Nieważne, czy zostaniesz niesłusznie skazany na 12 lat za zabójstwo, którego nie popełniłeś, czy też żyjesz na wolności ze świadomością, że toczy się przeciwko tobie absurdałne postępowanie prowadzone przez służby. Każdemu towarzyszy to samo poczucie zagrożenia, bezsilności i osamotnienia. Każdy ma wrażenie, że Franz Kafka, pisząc „Proces”, był prorokiem właśnie w jego sprawie.

Mnie pozostaje tylko skromna rola skryby. A bohaterom tej książki? Sam nie wiem. Zawsze podkreślam, że nigdy nie zdecydowałbym się, będąc na ich miejscu, na rozmowę z jakimkolwiek pismakiem. Nie chciałbym rozdrapywać starych ran, licząc, że czas doprowadzi do ich zbliznienia. Zauważyłem jednak, że z każdym wypowiedzianym słowem moi rozmówcy zrzucaли z siebie jakiś niewidzialny ciężar. Zupełnie tak, jakby każda opublikowana wypowiedź odmieniała ich los. Bo sami wiedzą, że nic już nie będzie takie samo. Powrót na wolność nie oznacza przywrócenia poprzedniego życia, ale próbę zbudowania go na nowo, czasami w bardzo zbliżonych warunkach.

Przejechałem setki kilometrów, w towarzystwie uroczej rudej damy ze Szkocji o imieniu Whisky spędziłem dziesiątki godzin, rezygnowałem ze snu, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie do bólu banalne: dlaczego? W jakim celu ludzie reprezentujący państwo zdecydowali się złożyć w ofierze Lewiatanowi przypadkowe osoby? Kto upoważnił ich do przedstawiania fałszywych oskarżeń, wydawania błędnych wyroków, prowadzenia lipnych spraw na zlecenie zawodowych kłamców... pardon – świadków koronnych? Czy robili to w imię prawa? W imię sprawiedliwości? Pytania okazywały się figurami retorycznymi stawianymi na siłę. Sztuka jest sztuka. Grunt, że zgadzała się liczba postawionych zarzutów. Złamanie komuś życia nie miało znaczenia. Z perspektywy zza biurka łatwo można było przeoczyć ten zbędny balast.

To kwestia zamiaru. Wszystko rodzi się w głowie jednostki – wyrok schodzi na plan dalszy. Czasami w ogóle go nie ma, choć w życiu bohaterów tej książki zapadł już na samym początku. Całe ich dalsze życie jest apelacją składaną do złośliwego losu.

Ocena, jak wywiązali się z nowego zadania, będzie należała już do Kogoś zupełnie innego. Żaden ziemski sąd nie będzie władny wydać wyroku w tej sprawie. Nasze opinie i sugestie również niczego nie zmienią.

Bohaterowie tej książki wyborów dokonują w samotności. Każdy z nich ma w życiu swoją własną „enkę” ...

* Więzienny oddział dla szczególnie niebezpiecznych przestępców.

ROZDZIAŁ 1

„Czester”. 12 lat za niewinność

Są takie historie, które nigdy nie powinny się wydarzyć. Mimo to, jak na osobiste życzenie złośliwego scenarzysty, znajdują swoje miejsce w życiu. Mają też swoich bohaterów, swoje ofiary, swoich katów... Cały świat przedstawiony na kartach scenariusza pisanego przez życie. Na tych kartach pojawia się również nazwisko Czesława Kowalczyka.

„Dzień dobry, nazywam się Kowalczyk... Pisał pan do mnie jakiś czas temu...” – usłyszałem głos w słuchawce. Oderwany od pracy nie skojarzyłem w pierwszej chwili, kim mógł być człowiek po drugiej stronie linii. „Przepraszam, że odzywam się dopiero teraz” – dodał mężczyzna. Niemal podskoczyłem, gdy chwilowe otępienie nagle opuściło mój umysł. „Musimy pogadać. Na żywo” – powiedziałem.

Nie powinienem przecież oczekiwać formuлки: „Dzień dobry. Nazywam się Kowalczyk, odsiedziałem 12 lat za zabójstwo, którego nie popełniłem”, choć w tej wypowiedzi nie byłoby ani grama przesady i egzaltacji. Ta historia wydarzyła się naprawdę.

Wyrwany z życia

12 stycznia 1999 roku, Gdynia Cisowa.

Małe dzieci wymagają szczególnej troski, dlatego pielgrzymki rodziców po przychodniach lekarskich to standard. Czesław wiedział, że jako ojciec rodziny musi znajdować się w stanie permanentnej gotowości. Zawsze przy dziecku i kobiecie, którą kocha. Syn ma tylko cztery lata.

Choć jest jeszcze maleńki, ma sporo z taty – jasne włosy, niebieskie oczy. Pewnie kiedyś wyrośnie na silnego mężczyznę, ale na razie najbezpieczniej czuje się na barkach ojca. Z góry lepiej też widać cały świat – ludzi, zwierzęta, domy... Zwłaszcza teraz, gdy ziemię pokryła śnieżna płachta.

Małe dzieci są jak płomyki świec – trzeba obchodzić się z nimi delikatnie, aby nie zgasły, mogły dawać ciepło i by oświeślały swoim blaskiem wszystko wokół... Wymagają ciągłej opieki, zwłaszcza gdy ich małe ciała muszą walczyć z chorobą. W styczniu dobre wróżki często przegrywają ze złymi wiedźmami o imionach takich jak Angina czy Grypa. Wtedy płomyki musi ratować czarodziej w białym stroju. Rodzice nazywają go panem doktorem. Pan doktor pomoże i wszystko będzie dobrze. Mama, tata i czteroletni chłopiec wrócą potem do domku i napiją się razem herbaty. Będzie jak co dzień.

Zabiegany tata zapomniał jednak książeczki zdrowia, musi po nią pojechać. Ale zaraz wróci... Musi wrócić... To tylko chwila...

* * *

Cisza przed burzą. Tak najlepiej można opisać sytuację, jaką „Czester” Kowalczyk zastał w swojej posiadłości. Nie witało go nawet szczekanie jego ulubieńca... Było w tym coś niepokojącego. Dopiero widok postrzelonego psa na moment zmroził krew w żyłach 33-latka. Włamywacze? Psychopata?

Odpowiedzią na wątpliwości było uderzenie twarzą o ściśniętą mrozem ziemię. Kowalczyk poczuł na sobie ciężar masywnego mężczyzny, który dociskał go kolanem. Ramiona miał już wykręcone do tyłu, nie mógł nimi ruszać – kajdanki opinały jego ręce. Szybko się zorientował, że w jego domostwie rządzi brygada antyterrorystyczna, a on jest celem operacyjnym.

„To nieporozumienie” – ta myśl od początku kołatała się w jego głowie. Nie mógł nic zrobić, musiał czekać. Wiedział, że wszystko da się wyjaśnić. Pytanie tylko, ile czasu to zajmie. Godzinę? Dwie? Trzy? Cztery? Może przedłuży się do 48 godzin? Ale przecież potem wyjdzie na wolność. Nie zamyka się ludzi przecież ot, tak – ściągniętych z ulicy.



Perspektywa się zmieniła, gdy usłyszał o rozpoznaniu go przez świadka zabójstwa jako sprawcy mordu. Jakiego zabójstwa?! Gdzie? Kiedy? To musiało być jakieś koszmarnie nieporozumienie. W oczach innych ludzi nie spotykał jednak zrozumienia. Był gościem z kajdankami na rękach. Musiał iść, kiedy mu kazali, musiał siedzieć, kiedy dostał nakaz, musiał wstać na polecenie. Już wiedział, że jego sytuacja nie zmieni się jeszcze przez długi czas – wiele miesięcy, może rok. Wtedy w ogóle nie brał pod uwagę, że za kratami spędzi 12 lat. 12 lat swoich, 12 lat matki jego dziecka, 12 lat swojego syna. Wspólnych spacerów, posiłków, zabaw i zwykłej szarej codzienności konsumowanej we troje... Nie wiedział jeszcze, że na nowo będzie musiał uczyć swojego syna słowa „tata”, że to nie on nauczy go jeździć na rowerze. To wszystko było

przed nim. Podobnie jak cela dwa na dwa metry, więzienne łachy i pięcioletnia samotność bez przywileju oglądania własnej twarzy.

„Czester” idzie za kraty bez wyroku. Ma tylko 33 lata. Zaczyna drogę na własną Golgotę. Nie widzi jednak szczytu tej koszmarniej góry. Jego cela znajduje się w piwnicy – nie widzi nawet słońca, wraz z trzaskiem zamykanych więziennych drzwi zostawia za sobą świat, jaki znał do tej pory.

Matnia

Niewinny człowiek mający problemy z systemem sprawiedliwości zachowuje się jak ślepiec. Może zdawać sobie sprawę z własnego położenia, odczuwać zagrożenie, przeczuwać, co za chwilę może się wydarzyć, ale sam jest tylko marionetką spoczywającą w rękach złośliwego demiurga.

„Nigdy nie miałem okazji znaleźć się na celowniku wymiaru sprawiedliwości, nie bałem się policji. Nawet kiedy mnie aresztowano, nie czułem strachu. Groteska” – przyznaje Czesław.

Kowalczyk w momencie zabójstwa, które mu przypisywano, rozmawiał ze swoją partnerką przez telefon. Wiedział o tym on, potwierdzić gotowa a to była jego kobieta, mógł ten fakt również poświadczyć jego kierowca, świadek rozmowy. Nikt nie wziął tego alibi pod uwagę. Prokurator zapewniał, że kierowca „Czestera” złożył zeznania, ale one nic nie wносиły do sprawy. Przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości kilkakrotnie oddalał wnioski mecenasa Bolesława Senyszyna, który domagał się przesłuchania kierowcy Wilamowicza. Nie przeszkodziło to jednak śledczemu w załączeniu do akt dokumentu pochodzącego z zupełnie innej teczki dowodowej. Do dziś za to nie odpowiedział.

„W czasie, kiedy zostało popełnione zabójstwo byłem w Gdyni, daleko od miejsc zdarzenia i rozmawiałem przez telefon stacjonarny. Mógł to potwierdzić mój kierowca, który woził mnie, gdy straciłem prawko przez zbyt szybką jazdę. To było moje murowane alibi. Ale nikt nie próbował sprawdzić go przez kolejne 10 lat” – mówi z żalem „Czester”.

Co kierowało działaniem prokuratora Ryszarda Paszkiewicza, dziś zastępcy szefa Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku? Chęć uzyskania

wyniku kosztem ludzkiej tragedii? Uzyskanie rezultatu za wszelką cenę? W końcu wymiar sprawiedliwości kieruje się prostą zasadą obowiązującą w wojsku: „sztuka jest sztuka”. Jeśli jest „głowa” (ofiara), musi znaleźć się i zabójca. Prokuratura do dziś zasłania się rzekomym „rozeznaniem” śledczego co do sprawstwa Kowalczyka. Na pytanie, czy oddalanie przez 10 lat kluczowego wniosku dowodowego nie jest pozbawianiem obywatela prawa do obrony, prokuratura nie odpowiada. Nie poczuwa się też do odpowiedzialności. Nie przeprasza.

Jedynym „dowodem” w sprawie jest wskazanie Kowalczyka przez partnerkę ofiary podczas rozpoznania zorganizowanego przez policjantów. Scena jak w amerykańskim filmie – kilku drabów zwróconych twarzą w stronę świadka, który zza lustra weneckiego wskazuje winowajcę. Jednak nawet w wytworach fantazji scenarzystów filmowych rzadko się zdarza, by osoba wskazująca zabójcę znajdowała się pod wpływem leków psychotropowych. Iwona C., narzeczona zamordowanego Adama K., była właśnie w takim stanie i w takim też stanie wskazała Czesława jako sprawcę. Raz widziała mężczyznę w bejsbolówce, innym razem faceta z blond czupryną. Wersja się zmieniała, ale „sztuka jest sztuka”. Jest zabójca, jest wskazany sprawca – nie ma sprawy.

Kobieta po dwóch tygodniach wycofała zeznania, a nawet przed obliczem sądu przyznawała się do pomyłki. Nie pomogło. Prokurator uznał, że wątpliwości świadków zbrodni, które pojawiają się po czasie, są na porządku dziennym.

Wymiar sprawiedliwości uznał, że lepiej wie, kto strzelił w głowę ofiary. Lepiej od naocznego świadka, kobiety siedzącej tuż obok ofiary w samochodzie, w którym dokonano zbrodni. Kowalczyk nie miał żadnego motywu, by zabić – a jednak został wskazany jako jedyny desygnat „sztuki”. Po latach okazało się, że powodem zbrodni była banalna zdrada.

„Za tym morderstwem stała zazdrość. Kobieta Marcina N., znanego w trójmiejskim półświatku, odeszła od niego i zamieszkała z instruktorem jazdy konnej. N. nie chciał odpuścić, czuł się zdradzony, więc postanowił odstrzelić rywala. Prosta historia...” – mówi „Czester”.

Kowalczyk nie zaprzecza, że znał Marcina N., prawdziwego zleceniodawcę zabójstwa.

„Handlowaliśmy razem. Brat Marcina N. był producentem styropianu, chcieliśmy nawet otworzyć fabryczkę. Facet był na liście najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost”. To były czasy, kiedy rodziły się rozmaite pomysły, wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Miał nastąpić kolejny etap w mojej działalności. Ostatecznie nigdy do tego nie doszło. Zamknęli mnie. Moja relacja z N. była czysto biznesowa. Na pewno nie byliśmy przyjaciółmi, nie nazwałbym go kumplem. Ot, po prostu – znajomy. Poznałem go przez kolegę, który powiedział, że Marcin lubi ciuchy Versace. Często brał ode mnie ten towar” – wspomina „Czester”.

Nie każdy jednak prowadzi interesy z ludźmi, którzy w akcie gniewu potrafią pozbawić kogoś życia.

„Przyznaję, nie byłem postacią kryształową. Handlowałem podrzabianymi ciuchami, ale 20 lat temu inaczej patrzyliśmy na oznaczenia firmowe. W powszechnej świadomości nie było to czymś rażącym. Wyszliśmy z komuny i mało kto miał pojęcie o markach. I to tyle na temat moich problemów z prawem” – podkreśla Kowalczyk. „Na pewno nie strzelałem ludziom w głowę. Ale czy jest ktoś, kto może powiedzieć o sobie, że jest bez skazy?” – pyta. Ta wątpliwość pojawia się w tej historii do końca. Trudno znaleźć klarowną odpowiedź, nawet jeśli prawda leży pośrodku albo po prostu – tam gdzie leży. Tylko czy ceną za każdą rysę w życiorysie powinien być żywot z piętnem zabójcy?

„Są fakty i opinie. Faktem jest to, że siedziałem niesłusznie. Dlatego czasem irytuje mnie mędrkowanie niektórych dziennikarzy, że prokurator mógł wiązać mnie ze sprawą zabójstwa, bo znałem zleceniodawcę. Gdybym był prezydentem miasta, wojewodą, prezesem spółki Skarbu Państwa czy księdzem, gliniarze nie zaciągnęliby mnie, aby okazać osobie na psychotropach, która wskazała mnie jako zabójcę. Próba wyciągania czegokolwiek z mojego życiorysu, byle tylko udowodnić poronioną tezę prokuratora jest równie sensowna, co zarzucanie ofierze gwałtu, że prowokowała sprawcę. Nigdy nie ryzykowałem wsadzenia mnie za kraty. Nie ma ludzi, którzy się nie mylą. Nie ma. Problem w tym, że jeśli ktoś uważa, że się nie myli, to już się pomylił” – podkreśla Kowalczyk.

Dlatego to właśnie on stał się wygodnym celem dla odurzonej własną mądrością Temidy. „Jeśli byłbym znanym człowiekiem, wynalazłbym lekarstwo na raka albo dostał Oscara, to stosunek prokuratury do mnie byłby nieco inny. Łatwiej jest zgnoić Kowalskiego niż człowieka, za którego moźni tego świata stoczą bój. Jeśli nie obracałbym się w takim środowisku, jeśli nie handlowałbym podrabianymi ciuchami, to raczej nie przeszłoby nikomu przez myśl, żeby zarzucić mi zabicie drugiego człowieka. To jednak nie ma teraz znaczenia, bo to nie ja zabiłem tego mężczyznę, nie miałem z tym nic wspólnego. I to błąd wymiaru sprawiedliwości. To oni zawiedli, a nie ja” – mówi Czesław.

To jednak nie przeszkadzało śledczym w zakwalifikowaniu sprawy Kowalczyka na półkę pt. Klub Płatnych Zabójców. Lata 90. to okres nieustannych porachunków mafijnych, również na Wybrzeżu. Strzelaniny, wybuchy, porwania, rozboje – Gdańsk wpisuje się w kryminalną stylistykę końca XX wieku. Posiadanie pseudonimu, szerokie znajomości i sprawa domniemanego zabójstwa sprawiają, że „Czester” zostaje zaliczony w poczet najgroźniejszych przestępców. Jest wśród osób, które są typowane nawet do zabójstwa... komendanta Marka Papały. Los oskarżonego z Klubu Płatnych Zabójców to nie tylko odsiadka w izolatce z piętnem „niebezpiecznego”, to również kilkugodzinne podróże przez całą Polskę w policyjnym konwoju. Każdy członek tego klubu leży w policyjnej „suce” na podłodze – na brzuchu, ze skutymi rękami. To samo spotyka Kowalczyka.

„Czester” na kolejną pomyłkę wymiaru sprawiedliwości będzie czekał aż do 2003 roku. Cały czas za kratami. Bez wyroku, bez oglądania najbliższych, a nawet własnej twarzy.

Józef K. to ja

„Przyznaję, czasami czułem się jak bohater powieści Franza Kafki. Kiedyś nawet widziałem się z takiej perspektywy we śnie. Są ludzie, którzy muszą wbrew wszystkiemu udowadniać, że nie są wielbłądami i to nie tylko z perspektywy więźnia, ale szarego Kowalskiego, który zderza się z machiną urzędniczą” – mówi Kowalczyk.

Pobyty po tamtej stronie to istny dzień świstaka, zwłaszcza gdy człowiek siedzi cały czas przy zapalonej żarówce. Więźniowie często przypłacali bezsennością tę przedpotopową technikę w celach. Wstajesz – widzisz martwe światło, kładziesz się – ta sama żarówka bije cię w oczy. Musisz kłaść się twarzą w stronę kamery – tak żeby strażnik mógł cię widzieć. Wygoda nie ma tu znaczenia, w końcu to gad dyktuje warunki. Twój świat to dwa na dwa metry, wszechświat – to areszt.

„Enka” to specjalna część więzienia przeznaczona dla szczególnie niebezpiecznych przestępców, którzy siedzą w jednoosobowych celach. Nie ma do kogo się odezwać czy pograć w głupie karty. Człowiek pozostaje sam ze swoimi myślami. „Czester” nie widuje nikogo – nawet własnej twarzy. Godzina za godziną, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu...

„Najgorszą karą jest samotność. Siedzisz sam w więzieniu i marzysz o tym, by móc porozmawiać z drugim człowiekiem. Choćby przez chwilę... Ludzie nie boją się śmierci, boją się umierania. Tak samo jest w wypadku gnicia za kratami. Nie chodzi o to, żeby cały czas spędzony w celi poświęcać na wymienianie się cukrem czy herbatą. To tak jak z oddychaniem. Nie oddychamy cały czas, ale co kilka sekund. Nawet nie zauważamy, że to robimy, ale kiedy przestajemy, to brak powietrza zaczyna nam doskwierać. Prowadzi w końcu do śmierci. Zawsze, gdy o tym myślę, przypomina mi się film «Papillon», gdy postać grana przez Steve’a McQueena trafia do karceru i pyta innego więźnia, jak wygląda, na co kompan niedoli odpowiada: dobrze. W rzeczywistości było zupełnie inaczej...” – mówi Kowalczyk, który z trudem cedzi kolejne słowa. Są sprawy, które również dla najtwardszych są trudne do przyswojenia.

Kontakt z drugą istotą ludzką miał „Czester” dopiero po dziewięciu miesiącach...

„Pewien sędzia powiedział mi, że chodziło o zapewnienie dobrych warunków do przesłuchań. Inaczej z nimi rozmawiasz, gdy jesteś «zmiękczony». Brak kontaktu z rodziną sprawia, że człowiek staje się bardziej skory do zwierzeń. Mimo braku kontaktu moi bliscy nie odwrócili się ode mnie. Moja ówczesna partnerka, matka mojego syna, walczyła o mnie. Przypłacała to zdrowiem, pewnie też karierą. Nie wątpiła we mnie. Wiedziała, że ja nie jestem mordercą. Walczyła o mnie przez

lata, nie mogę jej tego odmówić. Była jak lwica, ale każdego by to przerosło. Nadal jest wspaniałą kobietą” – wspomina „Czester”.

Kontakt z innymi ludźmi zastąpiło mu obcowanie ze słowem pisanim. W każdej postaci – biografie, monografii, powieści, dramaty, traktaty... Imieniny u znajomych zastąpiły wersy, uroczystości rodzinne – akapity, rocznice – rozdziały. Każdy musi znaleźć swój sposób podziału czasu. Zamiast piwa z kumplem, wybierasz wspólną podróż w zaświaty z Dantem, rozmowę z kobietą zastępujesz lekturą Platona. Wszystko zależy od twojej sytuacji.

„W więzieniu przeczytałem mnóstwo książek. Trudno mi przywołać poszczególne tytuły, ale na pewno wspomnielibym „Tato” Whartona o skomplikowanej relacji między ojcem i synem. Gdy czytałem ostatnie trzy strony czułem się tak, jakby ktoś wyciągnął mi to z głowy. Przeczuwałem, co będzie dalej. Trzy ostatnie strony zapisałem sobie na kartkach – nabrałem tego nawyku w więzieniu” – mówi „Czester”. „Jeśli chodzi o książki, muszę przyznać, że dopiero później zacząłem dostrzegać autorów – czytałem wszystko, co tylko się nawinęło, jak dziecko, które odczuwa pierwszy głód wiedzy. Nie pogardziłem nawet historią literatury angielskiej. Wcześniej nie doceniałem znaczenia tych ludzi w powstawaniu dzieł, podobnie jak roli jednostek w historii. Ucząc się, mało mówimy o jednostkach, które tę historię tworzą... To osobowości kreują rzeczywistość i doprowadzają do przełomowych wydarzeń. Zawsze uważałem, że gdyby premiowano szlachetne cechy, jak męstwo czy odwaga, inaczej wyglądałoby nasze życie publiczne, być może również wymiar sprawiedliwości” – zastanawia się Kowalczyk.

Perspektywa widziana zza krat skłoniła go również do innych rozważań. Jak sam przyznaje, zaczął wierzyć. I choć może nie wyciera kościelnej posadzki kolanami w każdą niedzielę, zdaje sobie sprawę z niezwykłej Obecności. Obecności, której nie da się w ludzki sposób opisać – za pomocą słów, pisma, obrazu.

„W więzieniu miałem dużo czasu na lekturę. U Jaspersa przeczytałem, że graniczne przeżycia bardzo zbliżają do Boga. Nie ma chyba lepszej szkoły duchowości niż samotne więzienie. Wiem coś o tym. Przesiedziałem w odosobnieniu pięć lat. Nie stałem się religijny, ale wierzący

– tak. Jeśli nie mogę być 1 listopada na grobie ojca i zapalić mu świeczki, to palę ją w lesie. Lubił las, spędzał tam ze mną czas. W taki sposób mogę uczcić jego pamięć. Czy w jakikolwiek sposób mu tym uwłaczam? Nie sądzę. Bo czy to, że nie jestem we Wszystkich Świętych przy jego grobie, może mieć dla mojego ojca jakiegokolwiek znaczenie? Tak jak broda nie czyni mędrcem, tak chodzenie do kościoła nie musi kierować cię do Boga. Duchowość to jedno, a religia to drugie” – tłumaczy „Czester”.

„Zawsze byłem wierzący. Uważam, że nie ma ludzi, którzy nie wierzą. Ateizm jest według mnie maską. Może są jednostki, które tak postrzegają rzeczywistość, ale to ewenementy. Nasz mózg jest tak skonstruowany, że musi odwoływać się do tej Wyższej Istoty, jakkolwiek ją nazwiemy. Nie ma znaczenia to, czy Bóg ma długą siwą brodę, czy też chodzi w brudnej koszuli. Człowiek musi dostrzegać tę Siłę Wyższą, jakiś Absolut... W więzieniu przeczytałem ładne słowa Gandhiego: «Nie wiem, jak wygląda Bóg, ale wiem, że obaj mamy go w sercu». Za kratami jest dużo czasu, żeby o tym myśleć i jakoś to sobie poukładać. To właśnie zrobiłem” – podkreśla.

Gdy „Czester” układał sobie wszystko w głowie, wymiar sprawiedliwości układał wyrok w jego sprawie. W tym wypadku nie było jednak miejsca na spokojne rozważania. Sąd nie jest świątynią sprawiedliwości, ale – jak mówi sam Kowalczyk – fabryką. „Czester” stał się jednym z tysięcy wyrobów, które wylądowały na taśmie bezdusznej maszyny.

Z celi do celi

Lipiec 2003 roku, Gdańsk

Po kilku latach od zatrzymania i rozpoczęcia samotnego pobytu w areszcie Kowalczyk zostaje uznany winnym zabójstwa Adama K. Sąd orzeka zaostrzone dożywocie z prawem do ubiegania się o zwolnienie najwcześniej po 30 latach.

Kowalczyk, w otoczeniu grupy gangsterów odpowiadających za najcięższe zbrodnie, zachowuje się na sali spokojnie. Na filmowej relacji z rozprawy patrzy ze spokojem w stronę operatora. Zawsze taki był.

„Pamiętam, jak przed laty rozpoczynałem pracę nurka w stoczni. Byłem świadkiem wyłowienia ciała innego pływaka. Nie pozostawiło to żadnego piętna na mojej psychice. Zapamiętałem tylko, że nurek w ostatnich odruchach swojego życia starał się rozerwać sieci, w które się zaplątał. Tak wynikało ze śladów pozostawionych na miejscu. Miał nóż, mógł przeciąć sieci, a jednak tego nie zrobił. Wtedy zdałem sobie sprawę, że w sytuacjach zagrożenia człowiek postępuje nerwowo, irracjonalnie. Staram się zachowywać spokój, co zresztą zauważyłeś. Nigdy nie byłem porywczy. Jak to ktoś napisał – denerwować się to mścić się na własnym organizmie za błędy innych” – przyznaje w rozmowie ze mną po latach.

Nie oznacza to jednak, że wstrząs pozostaje bez odpowiedzi. „Czasem wracam myślami do przeszłości, zawieszam się i wówczas jestem przytłumiony. Tak już pewnie pozostanie do końca” – mówi, patrząc mi w oczy.

Po dwóch latach wyrok został w całości uchylony przez sąd apelacyjny, a sprawa w całości trafiła do ponownego rozpatrzenia. Choć sąd II instancji poprzez krytykę orzeczenia zmiażdżył dotychczasowe działania wymiaru sprawiedliwości, kolejne dwa lata przyniosły mizerne rezultaty – Kowalczyk nadal pozostawał winny. Tyle że dożywocie zamieniono na 25 lat więzienia. O 25 lat za dużo...

Jednak nie to było powodem do radości. Zupełnie nowym etapem w życiu Kowalczyka było przeniesienie go z izolatki do otwartej celi. Szarego obywatela taka wizja może napawać przerażeniem – wizja pobicia albo gwałtu w celi nie jest zbyt zachęcająca dla człowieka, który może siedzieć w celi spokojnie, sam, bez zbędnego towarzystwa.

Jednak dla Kowalczyka to właśnie samotność stała się największą zmorą, dlatego przejście do normalnej celi, po pięciu latach przebywania na „ence”, napawało go radością. Czuł się tak, jakby wychodził na wolność. Nigdy nie przypuszczał, że przebywanie z obcymi ludźmi w jednym pomieszczeniu może mu kiedykolwiek dać tyle radości.

„Kiedy opuszczałem izolatkę, czułem radość. Facet, który obok brał swoje rzeczy, szedł jak na skazanie, a ja miałem ochotę podskoczyć. Osadzeni wiedzieli, że dostałem wyrok za zabójstwo. Kwestia braku mojej winy nie miała znaczenia, bo w więzieniu wszyscy siedzą za „nie-

winność”. Morderca cieszy się poważaniem po tamtej stronie. Dla ludzi niezbyt mądrych szacunek jest synonimem strachu. Najpierw trafiłem na małą celę i dużo radości sprawiało mi choćby to, że mogłem z kimś pogadać czy pograć w głupie karty. Za kratami możesz spotkać cały przekrój społeczny, często ludzi, którzy po prostu nie mieli w życiu farta” – wspomina „Czester”.

W nowej celi nie miał problemów. Jest silnym facetem, zawsze dużo ćwiczył – potrafi o siebie zadbać. W dodatku, jako człowiek z „głową” na koncie nie musiał się niczego obawiać. Bywały jednak sytuacje, gdy musiał wypracować swoje miejsce w stadzie pięściami.

„W ciągu tych 12 lat tylko dwa razy się biłem. Uważam, że to całkiem przyzwoity wynik. Raz znalazłem się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie i stałem się jedną z kostek domina. W drugim wypadku starłem się z typowym więziennym kulturystą. Facet pomylił grzeczność ze słabością, a ja nie położyłem uszu po sobie. Miałem w życiu kilka razy złamany nos, w młodości trenowałem zapasy. Radziłem sobie. Potrafię opanować emocje, ale jak już działałem, to działałem. Potrafię reagować szybko i zazwyczaj wtedy nie zawsze myślę o tym, co robię. Może cię to dziwić, bo jak zauważyłeś, jestem raczej spokojny czy wręcz ośpały” – mówi Kowalczyk. Jego spokojny ton głosu kontrastuje z opisem wydarzeń, których był uczestnikiem.

„Czesiek taki jest. Z jednej strony gada z tobą powoli mieszając herbatę, ale – w wypadku zagrożenia – reaguje błyskawicznie” – mówi nasz wspólny znajomy.

Podobne przygody nie robią jednak na nim wrażenia. „Czester” wreszcie ma z kim pogadać. Może pograć w karty, razem napić się czaju, ćwiczyć. Są momenty, kiedy obecność innych ludzi, również tych, których nie chciałoby się spotkać w dawnym życiu, jest zbawienna.

Siedzimy w grudniowy wieczór w jednej z sopockich restauracji. Niebawem święta, w głośnikach rozlega się „Last Christmas” grupy Wham – przebój grany przez rozgłośnie radiowe w okresie bożonarodzeniowym. Zachęca do wspomnień.

„Święta...” – zaczyna „Czester”. „Jak je spędzałeś po tamtej stronie?” – podchwytuję temat. „Słyszysz kolędy i rozmyślasz... Kiedyś postanowiłem sobie, że wypuszczę w Wigilię karpia. Pojadę z synem nad jezioro

i wspólnie uwolnimy rybę akurat w tym dniu. Po drugiej stronie w święta jest najciężej, zwłaszcza w Wigilię, a szczególnie gdy jesteś sam. Inaczej jest, gdy siedzisz z innymi typami pod celą. Z czasem traktujesz ich jak swoje stado i w pewien sposób, tam, za kratami, czujesz się jak wśród swoich. Parę świąt tak właśnie przeżyłem” – mówi Czesław.

W tym tkwiła przewaga wieloosobowej celi nad samotnym pobytem w izolatce. Kowalczyk dorobił się swojego stada, miał swoje miejsce w hierarchii, nawet jeśli musiał sam je sobie wypracować. To było coś. Miał już wyrok, miał kolegów – wiedział, na czym stoi.

Na pooranej zmarszczkami twarzy zaczął pojawiać się uśmiech. Nie był jednak taki jak dawniej – w uzębieniu pojawiły się luki. Kowalczyk stracił w ciągu kilku lat siedem zębów. Pomocy dentystrycznej właściwie nie było wcale. W Sztumie na zgłaszany problem usłyszał w odpowiedzi pytanie: „No, to rwać czy nie rwać?”. Ot, cała troska o zdrowie więźnia.

Spalony most

Podczas gdy Kowalczyk „układa” swoją sytuację za kratami, jego dotychczasowe życie rozsypuje się w gruzy. Wkrótce nie pozostaje po nim nawet śladu. Mimo świadomości, że „Czester” jest niewinny, partnerka decyduje się na rozstanie. Zdaje sobie sprawę, że niemal trzy dekady odosobnienia to zbyt wielka próba dla każdego związku.

Czesław jest w stanie to zrozumieć. W nowych okolicznościach trzeba szukać rozwiązań. Jest jednak sprawa, której rozwiązać nie można – ojcostwo. Gdzieś po lepszej stronie świata żyje jego syn. Od momentu zatrzymania Czesław nie widuje dziecka. Chłopiec miał wówczas zaledwie cztery latka. Dla tak małego człowieka każdy dzień, miesiąc, rok ma olbrzymie znaczenie – zmienia go krok po kroku.

To właśnie brak kontaktu z dzieckiem jest dla „Czestera” najbardziej bolesny. Nie nauczy swojego jedynego syna jeździć na rowerze, nie zaprowadzi do przedszkola, nie pomoże założyć plecaka w pierwszym dniu szkoły. Jako ojciec został skazany na najwyższy wymiar kary. Od wyroku sądu można się odwołać, od utraty kontaktu z własnym dzieckiem – nie.

Partnerka nie przyprowadza malca na widzenia. Przekonuje Czesław, że więzienie nie jest najlepszym miejscem dla dziecka. „Czester” się zgadza. Dobro syna przedkłada ponad własne pragnienia. Chciałby go zobaczyć, dotknąć, uśmiechnąć się, pocałować w czołko, pogłaskać po głowce... Nie może. Musi to zrozumieć. Po co burzyć świat dziecka? Świat, w którym są jeszcze dobre i złe wróżki, czarodzieje, aniołki. Kiedyś pewnie zrozumie tę sytuację, teraz niech cieszy się tym, co ma. Nawet jeśli w jego świecie zniknęło słowo „tata”.

W celi „Czester” tworzy ołtarzyk złożony ze zdjęć syna. Tylko w ten sposób może ukoić swój ból i choćby symbolicznie zachować kontakt z własnym dzieckiem. Patrzy na małe niebieskie oczka pod blond czuprynką, zupełnie tak, jakby malec był tuż przy nim. Jakby z nim siedział, jadł, ćwiczył... Może myśli o ojcu? Może tęskni? Może przywołuje ojca w myślach, nawet jeśli zapomniał, jak mówi się słowo „tata”.

Ta myśl paraliżuje, może przeraża, ale Czesław nie może się bać. Wie, że to byłby jego koniec. „Utożsamiam strach ze złem. Gdy zastanawiałem się, co mógłbym powiedzieć mojemu synowi w jednym zdaniu, powiedziałbym: «Nie lękajcie się». Wiem, że strach jest złem. Dużo zła dzieje się ze względu na zwykły ludzki strach. Nawet prokurator, który jest łajdakiem, niszczy ludziom życie ze strachu. Boi się o to, że nie będzie uważany za dobrego, mądrego i skutecznego, że straci uznanie w oczach rodziny czy też nie będzie mógł utrzymać na odpowiednim poziomie swoich dzieci. Takie małe łajdactwa wychodzą z człowieka ze strachu” – mówi Kowalczyk.

„Nie lękaj się” – te same słowa słyszę od niego, gdy żegnamy się na sopockim dworcu tuż przed świętami. W ustach osoby, która nie jest dewotem, te słowa mają niezwykłą moc.

Bo w sytuacjach krańcowych już tylko słowa są w stanie ocalić to, czego nawet najbardziej zacierzwieni sędziowie i prokuratorzy nie są w stanie odebrać – godność. Choć „Czester” traci kobietę i kontakt z dzieckiem, nadal jest ojcem. Nadal ma świadomość, że z jego miłości do partnerki zrodziło się dziecko, że jest bezpieczne gdzieś daleko, bez względu na zakład karny, do którego został przeniesiony właśnie jego ojciec. Może kiedyś będzie mógł mu o tym powiedzieć, może syn będzie

na niego czekał. Razem nadrobią to, co utracili – wspólny czas, dom, więź. Może syn po prostu, tak zwyczajnie, polubi go już jako dorosły mężczyzna? Na razie jest z nim tutaj – utrwalony na zdjęciach, we wspomnieniach, w myślach.

To właśnie świadomość posiadania dziecka pozwala „Czesterowi” zachować pion, podobnie jak pragnienie udowodnienia swojej niewinności. To jego zadanie, którego realizacja pochłonie całe 12 lat 3 miesiące i 9 dni za kratkami.

„Bardzo fajnie jest mieć w życiu jasno zdefiniowany cel. Gdy jako nastolatek osiedliłem się w Trójmieście, moim priorytetem było zostać nurkiem i żeglować. Osiągnąłem to bardzo szybko. W nowej sytuacji musiałem wyznaczyć sobie nowe zadania. W więzieniu moim celem było udowodnienie ludziom, że nie jestem mordercą. To mnie nakręcało, wszystko temu poświęciłem. Uniewinnienie mnie przez sąd zamknęło pewien rozdział. Tyle że uznać to za zamknięty rozdział to jedno, a przestać o tym myśleć to drugie. Do końca życia będę do tego wracał i muszę się z tym pogodzić. Nie da się cofnąć czasu” – mówi po latach.

Nie musi niczego się obawiać, chce tylko wykonać zadanie, dać świadectwo synowi. „Bałeś się śmierci?” – pytam po kilku godzinach rozmowy. „Śmierć nie jest dla mnie czymś najgorszym. Taka jest naturalna kolej rzeczy...” – odpowiada ze spokojem „Czester”.

Łazarz

Scenariusze pisane przez życie to najbardziej nieszablonowe historie. Nie da się wtłoczyć ich w jakikolwiek format. Zaskakują. W sprawie Czesława Kowalczyka również nastąpił przełom.

Marcin N. „Siena” zleceniodawca mordu, który został przypisany Kowalczykowi, został wskazany przez wynajętego przez siebie cyngla. „Siena” poszedł na układ z prokuratorem i zaczął sypać swoich kompanów. Przyznał, że zabójstwo konkubenta swojej byłej partnerki zlecił Piotrowi R. „Lechii” i Zbigniewowi D. To właśnie oni stali za pozbawieniem życia byłego mistrza Polski w jeździectwie. Żeby było ciekawiej – obaj byli świadkami ws. Kowalczyka. Kaci decydowali o życiu człowieka niesłusznie pozbawionego wolności.

W 2011 roku sąd zdecydował ostatecznie, że „Czester” Kowalczyk może wyjść na wolność. Tak też się stało. Nie miał przy sobie nic oprócz reklamówek wypchanych aktami sprawy. Dla jednych był jak biblijny Adam, który dziwnym zbiegiem okoliczności wrócił do Edenu po pobycie w czyścisku – dowodem była kara za niepopelnioną zbrodnię. Inni postrzegali go jako Łazarza. To drugie porównanie jest chyba bliższe rzeczywistości.

Czesław z ledwo zauważalnym uśmiechem, godnym mistrza najczarniejszego humoru, mówi, że gdy jego znajomy dowiedział się, że „trzeba odebrać Cześka”, był przekonany, iż „Czester” po prostu nie żyje i trzeba przewieźć zwłoki do zakładu pogrzebowego. Był zdziwiony, gdy zobaczył swojego druha stojącego o własnych siłach, wyjętego jakby z minioonej epoki z rękami pełnymi makulatury. Czesław żył. Nie miał zębów, przybyło mu zmarszczek, posiwiał, ale to był on. Wrócił.

W gorszym stanie był jego dom. Kiedyś tętniło w nim życie, po 12 latach stał się ruiną, w której pomieszkowali bezdomni. Dzicy lokatorzy zdążyli wynieść, co tylko się dało. „Czester” zamiast rodzinnych pamiątek odnalazł tylko tony śmieci. Mógł jednak liczyć na znajomych, którzy się od niego nie odwrócili.

Pozostała jeszcze kwestia ostatecznego uniewinnienia i sprawa rzekomego posiadania broni. „Prawdziwi sprawcy zamierzali zabić tego człowieka już trzy tygodnie wcześniej. Byli przygotowani, mieli pistolet, co zostało udowodnione.

Nie przeszkodziło to jednak wymiarowi sprawiedliwości w przyklepaniu mi posiadania broni. Było zabójstwo, więc musiała być i broń. Uniewinniono mnie w sprawie o zabójstwo, ale pozostała kwestia pistoletu. Odwołałem się. Sprawa cały czas jest w toku. Nie mam nic do ukrycia, wystarczy zerknąć do akt sprawy – kilkadziesiąt tysięcy stron... Jest co czytać” – mówi „Czester”.

W 2013 roku Czesław Kowalczyk został ostatecznie uniewinniony od zarzutu zabójstwa Adama Kwaśnego. Wyrok jest prawomocny – prokurator rezygnuje ze złożenia apelacji.

Gmach sądu opuszcza z podniesioną głową. Nie dał się zgnoić, ale nie dostrzega w swojej postawie żadnego przejawu heroizmu. „Zazwyczaj

ludzie, którzy ucierpieli przez działania wymiaru sprawiedliwości, a sprawa nie dobiegła jeszcze końca, idą na układ z prokuratorem. Ja nie miałem do czego wracać – miałem już wyrok i żadnych perspektyw. W więzieniu dużo czytałem o podziemiu niepodległościowym z czasów II wojny światowej, rozmawiałem też z ludźmi, którzy przeżyli to piekło. Wszyscy powtarzali, że nie ma ludzi, którzy się nie złamią. Zawsze znajdzie się sposób na człowieka – świat zna wiele tortur. Dlaczego ja się nie zламаłem? To czysty przypadek. Tylko i wyłącznie. Nie trafili mnie w czuły punkt. To im się nie udało.

Nie ma znaczenia, czy jesteś duży, czy mały, silny czy słaby – wszystko zależy od charakteru, jaki zdążyłeś sobie wyrobić” – tłumaczy Kowalczyk. „Nieważne, czy jesteś prokuratorem trzęsącym całym krajem, czy groźnym bandytą wzbudzającym powszechną trwogę – na końcu zawsze zostaje ten mały Jaś czy bezbronna Małgosia. To, co otrzymujemy w wieku kilku lat, później odciska swoje piętno” – dodaje.

Pobyt w więzieniu pozostawia w nim jednak niezatarty ślad. Pewne nawyki, mimo odmiennych okoliczności, pozostają bez zmian.

„Po wyjściu z więzienia wstawałem o szóstej rano, nawet kiedy nie musiałem. Lata odsiadki zrobiły swoje – mój organizm przyzwyczał się do pewnego rytuału – na wolności często okazywał się on zbyt techniczny. Wstawałem rano i biegałem z psem. Czy mi przeszło? Czasem wydaje mi się że wróciłem do normalnego rytmu” – mówi „Czester”. Słowo „wydaje” ma tu kluczowe znaczenie.

Są pewne sytuacje, które dla niego już zawsze będą kojarzyły się jednoznacznie. „Od niektórych rzeczy zdołałem się odzwyczaić, ale nie np. od reakcji na dźwięk alarmu, jaki możemy usłyszeć przechodząc przez bramkę podczas odprawy na lotnisku. Gdy tylko słyszę ten odgłos, czuję się, jakbym znów był po tamtej stronie. W ułamku sekundy stają mi przed oczami klatki z więzienia – wszystko widziane z perspektywy człowieka pozbawionego wolności. To tylko chwile... Na co dzień nie myślę w ten sposób, nie kojarzę wszystkiego z odsiadką, a przynajmniej się staram” – podkreśla Kowalczyk.

Podczas naszego pierwszego spotkania „Czester” wspomina powieść Aleksandra Dumasa „Hrabia Monte Christo”. Sam jednak nie szuka zemsty.

I znów, jak na niereligijnego człowieka, wypowiada się w sposób godny najbardziej gorliwego chrześcijanina.

„Nie sędzę, abym był lepszym człowiekiem od innych. Fakt, że akurat mnie to spotkało, a nie kogo innego, to przypadek. Nie wiem, jak zachowałbym się na miejscu prokuratora. Każdy ma odruchy złości, ale na pewno nie mściłbym się na prokuratorze. To system jest zły, a jeden człowiek nie robi tu różnicy. To system zmienia ludzi. Człowiek nie tworzy okoliczności, ale to one go tworzą. Ktoś mądrze powiedział, że ludzie są troszkę lepsi, niż pozwalają im na to okoliczności. Zgadzam się z tym. To «troszkę» to właśnie Bóg” – mówi Kowalczyk.

Nikt jednak nie prosił go o przebaczenie, nikt też nie poczuwa się do winy za całą sytuację. „Nikt mnie nie przeprosił” – przyznaje „Czester”.

Chciał spotkać się z prokuratorem, który zafundował mu piekło. Ryszard Paszkiewicz nie miał jednak na to ochoty. Powiedział jedynie, że „jeszcze nie czas na to”. Kiedy ów czas nadejdzie? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Jedyną formą odwetu, na jaką pozwala sobie Czesław Kowalczyk, jest nagłaśnianie sprawy. Często udziela wywiadów, staje się bohaterem programów i artykułów prasowych – autorka jednego z nich zostaje nawet uhonorowana nagrodą „Grand Press”.

Na początku miałem wątpliwości, czy po takiej fali rozgłosu Kowalczyk zdecyduje się na spotkanie i powrót do wspomnień z najgorszych momentów swojego życia.

„To jedyna forma walki z systemem, jaką mogę podjąć. Długo traktowałem to również jako sposób na odzyskanie kontaktu z synem – nadal to robię. Poza tym, im więcej mówię o swojej sprawie, tym łatwiej mi z tym żyć – wyrzucam z siebie to wszystko tak, jak organizm pozbywa się toksyn. Być może czasem nudzą mnie powtarzające się ciągle pytania dziennikarzy, na szczęście na każde z pytań można odpowiedzieć w różny sposób. Nie oznacza to bynajmniej, że zmieniam wersję wydarzeń, ale przedstawiam fakty z różnych perspektyw, pod różnym kątem” – przyznaje „Czester”.

W rozmowie znów pojawia się postać syna. To temat na oddzielną opowieść.

Tata

Batalia w sądzie nie była ostatnią, jakiej musiał, a właściwie nadal musi podejmować się Czesław. Choć myśl o synu trzymała go za kratami przy życiu, rzeczywistość po drugiej stronie brutalnie zweryfikowała jego plany i marzenia.

W końcu udało mu się spotkać z synem. Nie była to jednak taka rozmowa, o której marzył od 12 lat. I to bynajmniej nie dlatego, że ostatni raz widział dziecko, a teraz zobaczył nastolatka po egzaminach gimnazjalnych. Podczas spotkania towarzyszyli im była partnerka Czesława i jej mąż.

„Syn powiedział mi: «Głupia sprawa». To mnie rozbiło, nie tego się spodziewałem. Kiedyś powiedziałem, że wolałbym dostać drugie dożywocie niż to usłyszeć. Tak się czułem. W więzieniu cały czas kierowałem się myślą, że mam syna. Patrzyłem na jego zdjęcia, myślałem o nim. Choć nie było go ze mną fizycznie, to czułem jego obecność, patrząc na fotografie przedstawiające uśmiechniętego blondynka. Okazało się, że to fikcja, bo muszę z niczego stworzyć naszą wzajemną relację, bo ona nie istniała. Chłopak nosił inne nazwisko, przez kilkanaście lat mnie nienawidził, bo myślał, że go opuściłem” – wspomina Czesław.

Zmianę nazwiska syna, będącego już u progu dorosłości „Czester” źle znosi. Chłopak przez dłuższy czas nie chciał mieć kontaktu z ojcem. Czesław Kowalczyk był dla niego obcym człowiekiem, którego przez całe życie postrzegał zupełnie inaczej.

Choć blisko 50-letni mężczyzna zachowuje spokój, można zauważyć, że ten temat wywołuje w nim największe emocje. Kowalczyk rozrywa w dłoniach saszetkę z cukrem, gniecie papierek. Staram się go cierpliwie słuchać – w końcu dotykamy najbardziej drażliwej kwestii, z jaką przyszło nam się zmierzyć w ciągu kilku godzin rozmowy. Dla mnie to zdobywanie informacji, dla niego – cały sens życia.

O matce swojego dziecka wypowiada się dobrze. Nie obwinia jej o rozpad związku. Jedyne, co ma za złe swojej byłej kobiecie, to wmawianie dziecku, że tata przestał go kochać i wyjechał. Tak przecież nie było. A może chciała w ten brutalny sposób uciąć tęsknotę dziecka, które wypytuje o ojca?

„Kto inny uczył go jeździć na rowerze... Tego nikt mi nie odda. Właśnie stąd moja otwartość na media – od początku wiedziałem, że tylko tak będę w stanie mu przekazać, jak było naprawdę. Nie można pstryknąć palcami i powiedzieć: już jest w porządku. Nigdy nie będzie w porządku! Przed więzieniem widział mnie po raz ostatni jako czterolatek, gdy wychodziłem, miał już 16 lat. Teraz jest dorosłym młodym mężczyzną, właśnie zaczął studia, jest mądrym poukładanym człowiekiem. Jestem z niego dumny. Nadal o niego walczę. Może nie nauczyłem go jeździć na rowerze, ale wciąż mam szansę nauczyć go prowadzić auto. Bardzo chciałbym, abyśmy się poznali lepiej. Wydaje mi się, że jest bardzo podobny do mnie, zwłaszcza z charakteru. Wiem, że to dobry chłopak. Widzę w nim sporo z samego siebie sprzed 30 lat” – mówi z dumą „Czester”, a przez jego twarz przemyka uśmiech. Uśmiech steranego życiem ojca, który mimo własnych problemów z satysfakcją patrzy na sukcesy swojego pierworodnego.

„Nie wrócę mu dzieciństwa z tatą u boku, ale być może zbudujemy razem coś nowego. Może kiedyś mnie po prostu polubi i popłyniemy razem w rejs? Mam taką nadzieję” – przyznaje zamyślony „Czester”.

Jak wycenić krzywdę?

Są rzeczy, których odzyskać się nie da. Są kwestie, które nie podlegają wycenieniu. Nawet jeśli rekompensata przysporzy kilku dodatkowych zer na koncie. Kowalczyk wie, że nie zmieni przeszłości, ale ma solidne narzędzie do budowania swojego jutra. Najchętniej budowałby je razem z synem.

„Czester” domaga się 15 mln złotych od państwa za 12 lat 3 miesiące i 9 dni niesłusznej odsiadki. Mógł w tym czasie pracować, prowadzić własną firmę, zapewniać spokojny byt swojej rodzinie, którą utracił.

Sąd Okręgowy w Gdańsku pod koniec 2015 roku przyznaje mu 2,7 mln złotych. Kowalczyk, choć już może uważać się za milionera, nie daje za wygraną. Jego adwokat składa apelację.

Tak czy inaczej – Czesław Kowalczyk już wie, że na pewno otrzyma pieniądze, za które kupi sobie katamaran. Zdaje sobie sprawę, że nieba-

wem zrealizuje jedno ze swoich największych marzeń – będzie pływał po Morzu Śródziemnym jako skipper. Wreszcie będzie w pełni wolny z ukochaną kobietą u boku.

„I masz fajną puentę – facet z celi dwa metry na dwa teraz pływa sobie po Morzu Śródziemnym” – mówi „Czester” ze szczerym uśmiechem.

„Happy end?” – pytam. „Pełny happy end będzie wtedy, gdy popłynię razem ze mną mój syn. Wtedy będę w pełni szczęśliwy” – przyznaje Kowalczyk.

Musimy przerwać rozmowę, telefon. Dzwoni syn Czesława.